

WANDA LASKOWSKA



Nielatwo ją złapać w Warszawie. Należy przecież do tych nielicznych kobiet-reżyserów, które — jak panie: Maria Wiercińska czy Irena Babel — zyskały sobie w teatrze prawo obywatelstwa, zdobyły w ciągu lat pracy dobre imię i na każdym spektaklu, który tworzą, potrafią wycisnąć piętno swojej osobowości twórczej. Jeden telefon, drugi, trzeci, piąty i dziesiąty. Wreszcie któregoś dnia, kiedy Wanda Laskowska między próbami w nowohuckim teatrze wpadła do Warszawy, żeby choć zobaczyć swego nastoletniego Piotrusia — doszło jednak do spotkania.

— Trudno — usprawiedliwia się pani Laskowska — skończył mi się kontrakt z Teatrem Dramatycznym, więc przez jakiś czas będę waganterem. Zresztą, prawdę powiedziawszy, w tej chwili jestem tak bardzo pochłonięta zbliżającą się premierą, że nie bardzo mam czas na ponure rozmyślania. Otwieram sezon Józefowi Szajniew w Nowej Hucie „Do-

żywociem” Fredry. To nie pierwszy Fredro w moim życiorysie. Przed kilkoma laty potwornie się na nim rozłożyłam i ciągle mnie od tego czasu nurtował problem: kiedy się to czyta — no, perliste, dowcipne, błyskotliwe, pyszny wiersz... A ze sceny wieje nudą. Postanowiłam spróbować jeszcze raz. Spodziewam się, że fredrolodzy i wszelkiej innej specjalizacji historycy literatury mnie powieśzą. Ale jeśli widzowie będą się tak dobrze bawić, jak sobie wymarzyłam — nie boję się gromów.

Ja tu Panią zagaduję, a Pani chciała zrobić wywiad. Zaraz przyniosę kawę, to zawsze dobrze robi, jak człowiek jest trochę niepewny (okropnie boję się wywiadów, miałam już bardzo przykre doświadczenia), i pogadamy sobie. Pani mi będzie zadawać pytania, a ja na nie będę odpowiadać: tak i nie. Dobrze? Odkąd zdobyłam w Jugosławii nowy przepis na parzenie kawy, wszystkich moich gości nią częstuję. Strasznie mnie to bawi.

Jak? O, bardzo prosto! W miedzianym tygielku gotuje się wodę z cukrem. Tyle wody, ile

potem ma być kawy i cukru do smaku — trochę dużo. Gdy się syrop zagotuje, odlewa się troszkę do filiżanki, a do tygielka z resztą wody wsypuje się drobno zmieloną kawę i trzyma się na ogniu, aż się to wszystko po- niesie. Potem dolewa się z filiżanki tę poprzednio odlaną wodę i kawa gotowa. Pyta- na! Nawet z nie najlepszej można zrobić cał- kiem przyzwoity napój.

Ale wracając do tematu: jeszcze Witkacy tak za mną chodzi. Robiłam przed laty w Teatrze Dramatycznym w Warszawie „Wariata i re- konniece” oraz „W małym dworku”. Chcia- łabym jeszcze raz zupełnie inaczej. Korci mnie to i korci. Człowiek tak sobie powołuje kombinuje, kombinuje, sprawdzi potem w konkretnej robocie i na ogół ma już z głowy. Tak na przykład mam już z głowy „Nosorożca”, „Łysa śpiewaczka”, „Nosorożec” — i już mam dosyć, już mnie ten pisarz nie interesuje. Już nic nie mam sobie na jego temat do po- wiedzenia. Podobnie z Brechtem. Kiedyś roz- myślałam o tym, żeby inscenizować któryś z je- go dramatów. Przeczytałam wszystkie



DOŻYWCIE



NOSOROZEC



LEONCE I LENA

dostępne sztuki. Miesiącami rozmyślałam wyłącznie o Brechcie. I w tym czasie zdążyłam powiedzieć sobie na jego temat chyba wszystko. To zabawne, ale nie zagrawszy nawet żadnej z jego sztuk — skończyłam moje porachunki z Brechtem. A z Witkacym jeszcze nie, wciąż jeszcze nie. Przecież to znakomity twórca, właściwie furt upupiany, furt nie odkryty... Co tu wiele gadać, stworzył swój „antyteatr”, kiedy nikomu się jeszcze nie śniło, że urodzi się Ionesco. Namówiliśmy się z Szajną, że jeszcze spróbujemy. Uwielbiam pracować z Szajną. Robiłam z nim ostatnio w Teatrze Dramatycznym w Warszawie „Leonce i Lena” Büchnera. Uwielbiam fanatyków, ludzi gorących, zapalonych. Mogę z Szajną spierać się do upadłego, bo nie zawsze mi jego pomysły odpowiadają. Ale to cudowne, że nigdy nie jest obojętny, ciągle czegoś szuka, jest ciągle z czegoś niezadowolony. Człowiek z temperamentem twórczym, który potrafi porwać innych. Nie tylko porwać. On inspirował do własnych poszukiwań.

Wie Pani, myślę, że ludzie się szybko kuma-

ją, jeżeli funkcjonują na tej samej długości fali, jak ja to określałam. Byłam teraz w lecie w Jugosławii. Kraj przepiękny, choć niebogaty. Jeden z kolegów zaraz po przyjeździe stwierdził, że „wszyscy Jugosłowianie mówią po polsku”. To oczywiście nieprawda, aczkolwiek faktem jest, że ich wszystko co polskie niezwykle żywo i serdecznie interesuje. Oni funkcjonują właśnie na naszej długości fali. „Mieszkaj bracie, jedz co mam, chodź w mojej koszuli”. Dostownie tak nas traktowali. Myśmy tam mieszkali w takim ich aktorskim domu wczasowym; nie dość, że płaciłmy jak za wczasy ulgowe, nie pełnopłatne, ale przez ostatnie dni naszego pobytu w ogóle nic nie chcieli brać i jeszcze znosili nam do pokoi najrozmaitsze owoce i smakołyki. A te wspaniałe rozmowy! Oni powoli po serbsku, my powoli po polsku — i cudownie można się dogadać. Zresztą znam włoski, a u nich bardzo dużo ludzi mówi po włosku. Dalmacja cała... To jest coś nieludzko pięknego, nawet nie potrafię opisać wrażenia, kiedy taki stary, siedemdziesięcioośmioletni rybak na skalistej

wysypce, na której nic nie ma prócz jego chałupy opowiada, że bardzo lubi Maupassanta ale najładniejszą książką, którą czytał, są „Chłopi” Reymonta. Zawsze mnie najbardziej interesował człowiek. Wszystko co się tam w nim dzieje, pulsuje... Chciałam być neurochirurgiem. Właściwie... no tak, właściwie robię to o czym marzyłam: grzebię się w ludzkich wnętrznościach. Tyle, że bez skalpela. Od najwcześniejszego dzieciństwa genialnie mówiłam wierszyki u ciotki na imieninach. Ale nigdy nie miałam żadnych ciągów scenicznych. Wcale mi nie było żal, kiedy moje koleżanki wybierały się po maturze do szkoły teatralnej. Zdałam na medycynę, ale kiedy się nie dostałam, uległam podszeptom i zgłosiłam się do Studio Teatralnego Iwo Galla. Rodzice rozpaczali, a ja też nie byłam w pierwszej chwili rozentuzjasmowana. Ale to wciąga. To było bardzo dawno, paręnaście lat temu. Zbieranina tam była u Galla niesamowita. To przecież nie była żadna szkoła, jak dzisiaj, z kursami i specjalizacjami. Uczyliśmy się w



LEONCE I LENA



GRUPA LAOKONA



konkretnej robocie teatralnej. Ale dobra to była szkoła. Wyszło z niej sporo dziś znanych artystów. Choćby — z mojego rocznika — Renata Kossobudzka, Bronek Pawlik i jego żona Alina Świdarska, Baśka Krafftówna... Baśka była najmłodsza. A w ogóle to nie ona, tylko jej starsza siostra była uczestniczką Studia. Przeprowadzała ze sobą Baśkę, bo nie miała jej komu podrzucić. „Maleństwo” z ogromnymi warkoczami i mocno wyrośnięte, siedziało cicho w kącie, było pupilką wszystkich i bynajmniej nie emanowało talentem. Do czasu.

Mnie ciągnęła reżyseria. Zapisalam się więc w końcu na Wydział Reżyserki PWST w Warszawie — jeszcze wówczas nie „im. Żelwerowicza” — żył jeszcze i uczył. (Warto dodać, że Wanda Łaskowska studiowała równocześnie historię sztuki i archeologię klasyczną u prof. Kazimierza Michałowskiego). Miałam to szczęście, że już podczas trzeciego roku studiów dostałam się do Teatru Współczesnego. Nie o to chodzi, że w Warszawie, że nie musiałam jechać na prowincję. Nie

boję się prowincji. Chodzi o ludzi, z którymi wtedy się zetknęłam.

Byłam na etapie, kiedy ciągle huczało mi w łbie pytanie: no i co dalej. No, dobrze: przeczytam sztukę, i co dalej? Usiądziemy przy stoliku, i co dalej? Wejdziemy na scenę, i co dalej? W tym najgorszym okresie Oni mi pomogli. Tego się nie zapomina. Przecież to same asy: Erwin Axer, Irena Horecka, Hanka Bielicka, Danuta Szaflarska, Andrzej Łapicki...

Robiłam „Ich czworo” Zapolskiej. Byłam przerażona i ogłupiała. Tymczasem koledzy potraktowali mnie jak równorzędnego partnera, jak doświadczonego reżysera. Udawali, że zawsze mam rację, a w razie potrzeby cicho robili swoje. Dyrektor Axer wpadał na próby, mówił, że świetnie, że właśnie tak trzeba, że może tylko jeden maleńki szczegół... i tu przewracał mi niepostrzeżenie co chciał, stawiał przyzwrocie na nogach, a korygował i pomagał w sposób tak taktowny, że ani przez chwilę nie czułam się upokorzona. Potem... wkrótce potem przez rok byłam dy-

rektorem teatru w Lublinie. Głupstw narobiłam od metra. To zupełnie odrębna umiejętność i bardzo trudna: być dyrektorem teatru. Niech mnie wszystkie bogi bronią, bym miała w życiu kiedyś jeszcze coś podobnego popieścić.

...

Kawa już dawno wypita. Dwie popielniczki pełne niedopałków. Zapalając się przeskakujemy z tematu na temat. Wcisnięta głęboko w fotel siedzi przede mną drobna, rudowłosa kobieta. Gdybym nie wiedziała — myślę sobie — z perspektywy widowni, kto to jest Wanda Łaskowska, nie uwierzyłabym, że ta kobieta potrafi udźwignąć ciężar całego zespołu, ciężar całego spektaklu.

„Mój Boże — martwi się teraz — tyleśmy nagadały, a Pani wcale nie będzie miała materiału. Mówiłam, że nie umiem udzielać wywiadów”.

Rozmawiała
EWA ZIEGLER